

# Podróż dookoła Pacyfiku

Jeśli jest to grzechem, ale chyba nie jest, to razem z żoną mamy niczym niepohamowany pęd do poznawania świata, a konkretnie do zachwywania się jego urokami. A że Bóg stworzył świat wyjątkowo pięknym, to chyba nikt nie ma żadnej wątpliwości.



Autor na wyspie Moorea (Tahiti)

Nie wiem skąd to się wzięło u mnie, ale bakcylem podróżowania jestem zarażony do bardzo młodych lat. Mając zaledwie 11 lat sam pojechałem koleją z Koszalina do Karpacza w Karkonoszach, a więc z samej północy Polski na samo południe, z przesiadkami w Poznaniu, we Wrocławiu i Jeleniej Górze. A będąc cały sierpień 1957 roku w tej największej stacji klimatycznej Sudetów, codziennie dołączałem do wycieczek pieszych i autobusowych organizowanych dla wczasowiczów Domu Wypoczynkowego Morskie Oko. M.in. uczestniczyłem w 3,5-godzinnej (w jedną stronę) wycieczce na najwyższy szczyt Karkonoszy – Śnieżkę (1602 m).

Od tej pory każdego następnego roku podróżowałem sam po Polsce. Do 1964 roku, tj. do chwili wyjazdu na stałe z Polski, zwiedziłem wyjątkowo dużo ważnych miast i uroczych zakątków kraju rodzinnego czy lat dziecięco-młodzieńczych. Lubiłem samotne wędrowki, chociaż nie unikałem grupowych wycieczek (w gimnazjum byłem współorganizatorem szkolnych wycieczek na Ziemię Wałbrzyską i na Pomorze Zachodnie). W 1961 roku wraz ze swoim pieskiem Kajtusiem (jamnik) szczytami Karkonoszy przeszedłem z Karpacza do Szklarskiej Poręby – 35 km (stopy były jednym wielkim pęcherzem, a na dokładkę zgubiłem pieniądze i zdjęcie mojej dziewczyny). Z kłopotu wybawił mnie ówczesny znany mi dyrektor Caritasu w Szklarskiej Porębie, który mnie nakarmił i pożyczył mi trochę pieniędzy.

W 1964 roku rozpocząłem wędrowkę po świecie. Zapoczątkowała ją podróż do Australii: Czechy, Austria, Włochy (które już wówczas pokochałem, chociaż dane mi było wtedy zobaczyć zaledwie kilka miast i Pompeje oraz jechać koleją przez północne Włochy), Egipt i Aden.

\*\*\*

Jak już wspominałem w **Śladami Polaków po świecie** – (wywiad z autorem w „Przeglądzie Australijskim”) właśnie Australia i Oceania najbardziej mnie fascynowały od 1960 roku. Tak się złożyło, że nie tylko spełniło się moje marzenie i znalazłem się zupełnie przypadkowo w Australii, ale miałem także jak rzadko kto w samej Australii okazję bardzo dobrego poznania tak tego kraju jak i Oceanii – ich wyjątkowych uroków. *Księżyc nad Tahiti* (znana piosenka, którą śpiewał niezapomniany Mieczysław Fogg) świecił dla mnie wiele razy nie tylko nad Tahiti, ale również nad wieloma innym wyspami Pacyfiku, m.in. na *Wyspie skarbów* ( 1892,

wyd. pol. 1893) Roberta Louisa Stevensona, czyli na Samoa. Zresztą nie tylko dla mnie. Podczas swych podróży wszędzie spotykałem i spotykam Polaków. Bo nie tylko Kałuski, ale w ogóle Polacy znani są z zamiłowania do podróżowania po świecie i to nie od dzisiaj (zob. Jan Stanisław Bystron *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI-XVIII, t. 1*, Kraków 1960).

W pierwszą podróż po Pacyfiku wybrałem się w listopadzie 1968 roku. Jeszcze jako kawaler. Przez 42 dni płynąłem na statku turystycznym *Queen Frederica* (Chandris Lines) o wyporności 21300 ton, zwiedzając poza Adelajdą i Perth w Australii: Bali w Indonezji, Singapur, Hongkong, Tajwan, Guam, Wyspy Karoliny, Fidzi i Nową Zelandię. W późniejszych latach już razem z żoną byliśmy m.in. na Nowej Zelandii, Nowej Kaledonii, Vanuatu (kiedyś Nowe Hebrydy), Fidzi, Wyspach Tonga, Samoa, Samoa Amerykańskich, Tahiti (na 20 rocznicę ślubu), Hawajach, na wyspie Lord Howe, Indonezji (Jawa, Bali), Tajlandii, Filipinach, Makau, Hongkongu, Singapurze i 4 razy w Chinach.

Nasze podróżowanie nie ograniczyliśmy jednak do basenu Pacyfiku. Byliśmy w USA (od Nowego Jorku po San Francisco) i Kanadzie (środkowa część), Egipcie i Maroku, w Izraelu, Palestynie, Syrii i Turcji. W Europie byliśmy prawie we wszystkich krajach, w tym w niektórych po kilka razy (np. Wielka Brytania 7 razy, Włochy 4 razy, Francja 3 razy; w wielu innych po 2 razy). Do tej pory byłem w 73 krajach i terytoriach należących do jakiegoś państwa. Można by rzec, że żyję dla podróżowania, gdyż większość zaoszczędzonych pieniędzy na nie przeznaczam. Tak, to moje najważniejsze hobby.

\*\*\*

Wspomnieć tu muszę również o podróżowaniu i zwiedzaniu świata z lotu ptaka, na co chyba nikt nie zwraca uwagi. Tymczasem ono potrafi być także fascynujące, ciekawe i pouczające. Oczywiście jeśli leci się podczas dnia i jeśli niebo jest bezchmurne, a o to nie tak łatwo. Tak było jednak podczas naszych licznych lotów po świecie. Np. z okien samolotu widziałem Nil na całej jego długości od Kairu do Aswanu. Człowiek mógł przekonać się na własne oczy jaką rzeką życia jest Nil. Widzi się wąski pas ziem uprawnych przy rzece i potem jak okiem sięgnąć po jednej i po drugiej stronie rzeki widzi się jedynie ciągnącą się na wiele setek kilometrów piaszczystą pustynię. Nie byłem na Ukrainie, ale z lotu ptaka widziałem Lwów i Krym (ukraińskie Karpaty przykrywały chmury). Podczas kilku lotów poznałem dobrze topografię Alp niemieckich, szwajcarskich, austriackich, włoskich i słoweńskich. Widziałem olbrzymią, fascynującą wielką deltę Gangesu i Brahmaputry w Indiach, rzekę Jangcy w Chinach, niebosiężne i niegościnnie góry Afganistanu, Kaukaz na terenie Azerbejdżanu i Gruzji – widziałem Elbrus (5633 m), Wyspy Alandzkie (Finlandia). Leciłem nad aktywnymi wulkanami Jawy – zaglądając w ich kratery, często dymiące, pustyniami Turkmenistanu i nad Morzem Kaspijskim, polderami Holandii, Jeziołem Balaton (Węgry; później byłem również nad jeziorem), nad Wiedniem (w którym byłem kilka razy) i Pirenejami. Przy wyjątkowo pięknej pogodzie tego dnia na całej trasie lotu widziałem wielki szmat Ameryki – od Los Angeles po Nowy Jork lecąc nad Phoenixem, Dallas, Atlantą (jak na dłoni widziałem tereny olimpijskie) i pięknym wybrzeżem od Norfolk po Nowy Jork, itd., itd.

Podróżowanie po Europie, Afryce północnej, Bliskim Wschodzie i północnej Ameryce sprawiło, że od 14 lat nie byliśmy nigdzie w basenie Pacyfiku. Toteż w 2007 roku postanowiliśmy, że kolejną naszą eskapadą będzie podróż statkiem turystycznym po Pacyfiku. Zapisaliśmy się więc na 75-dniową wycieczkę dookoła Pacyfiku na statku turystycznym *Sun Princess*, należącym do kompanii Princess Cruises. Statek ten zbudowany w 1995 roku we włoskiej stoczni w Monfalcone (tam zbudowane zostały również, tyle tylko że przed wojną, polskie transatlantyki: *Piłsudski* oraz sławny *Batory*) ma 77 441 ton wyporności, 261 m długości i 32 m szerokości oraz 56 m wysokości, ma 1011 kabin, zabiera 2272 pasażerów i 880 członków załogi. W podróży naszej uczestniczyło 1910 osób, w tym 1628 Australijczyków, 181 Nowozelandczyków, 57 Brytyjczyków i zaledwie 12 Amerykanów oraz 32 przedstawiciele innych narodowości.

\*\*\*

**14 lipca 2008 roku wypłynęliśmy z Sydney i wróciliśmy do tego miasta 27 września**, pokonując łącznie 24 298 mil morskich czyli ok. 46 000 km (długość równika ziemskiego wynosi 40 070 km) odwiedzając po drodze 15 państw i zatrzymując się w 29 portach i wyspach: Auckland (Nowa Zelandia), wyspa Dravuni (Fidzi), wyspa Niuafu'ou (Tonga), Apia (Samoa), Pago Pago (Samoa Amerykańskie), Rarotonga (Wyspy Cooka), Tahiti, Moorea i Bora Bora (Tahiti), Kiritimati albo Wyspa Bożego Narodzenia (Kiribati), Honolulu, Maui i Hilo (Hawaje), San Francisco (USA), Victoria i Vancouver (Kanada), Ketchikan, Glacier Bay, Juneau, Kodiak i Aleuty (Alaska - USA), Pietropawłowski Kamczacki (Kamczatka – Rosja), Osaka, Kobe i Nagasaki

(Japonia), Pusan (Korea Południowa), Tiencin, Szanghaj, Hongkong (Chiny), Nha Trang i Vung Tau (Wietnam), Sihanoukville (Kambodża), Singapur (Singapur) i Darwin (Australia). W każdym porcie były organizowane wycieczki po tym mieście lub na prowincję czy do innych miast jak np. do Pekinu, Wielki Mur Chiński (byłem na Murze w 1995 roku), z Szanghaju do miasta jedwabiu Suczou (byłem tam z synem w 1997 roku), Makau (byłem tam z żoną w 1988 roku; w hotelu Oriental jedliśmy najwspanialsze śniadanie w naszym życiu!), Kioto (Japonia), Sajgonu, świątyni Angkor Wat (Kambodża). Jak był na to czas można było samemu – na własną rękę dodatkowo zwiedzać dane miasto lub robić zakupy.

Pogodę mieliśmy bardzo dobrą lub dobrą; tylko 5 czy 6 dni było chłodno lub trochę padało. Nie przeżyliśmy nawet najmniejszego sztormu i uciekliśmy przed cyklonem, który niebawem po naszym odpłynięciu uderzył na Hongkong i gonił nas w kierunku na Wietnam. Mieliśmy naprawdę szczęście. Na statku były osoby biorące udział w poprzednich wycieczkach tego statku w rejonie Pacyfiku i mówiły, że takiego szczęścia z pogodą wówczas nie mieli.

\*\*\*

**Życie na statku** było cudowne. Kabinę wygodną, klimatyzowaną i z wszelkimi wygodami (np. telewizor - stacja na statku, amerykański CNN, w niektórych rejonach BBC i australijskie ABC); codzienna gazeta wydawana na statku. Cudowna pogoda umożliwiała pływanie w basenach i wylegiwanie się na leżakach oraz uprawianie pewnych gier na wolnym powietrzu czy spacer dookoła statku na siódmym pokładzie. Pyszne jedzenie było do naszej dyspozycji 24 godziny na dobę! Serwowano nam specjalności kuchni: włoskiej, francuskiej, niemieckiej (szef kuchni jest Austriakiem), australijskiej, rosyjskiej, meksykańskiej, japońskiej, chińskiej, wietnamskiej i tajlandzkiej; raz podano nam „rybę po polsku” i 3 czy 4 razy można było dostać nasze gołąbki. Na statku jest teatr kabaretowy i dodatkowo organizowane były występy bardzo dobrych śpiewaków, muzyków, humorystów, cyrkowców; również na statku mogliśmy podziwiać i okłaskiwać występy zespołów folklorystycznych z Samoa, z Samoa Amerykańskich, Tahiti, Hawajów, Kamczatki (rosyjski i koriacki), japońskie w Osace i Nagasaki, zespół chiński w Szanghaju i Singapurze i chyba najpiękniejszy kambodżański (wyjątkowo piękne stroje i ładne tańce, szczególnie z kokosami; bardzo oryginalne były również tańce Koriaków, które naśladowały różne ptactwo). Po raz pierwszy w życiu widziałem występy folklorystyczne z tych krajów, co bardzo wzbogaciło moją wiedzę o folklorze tych ludów. Jakże są one inne od folkloru europejskiego! Na statku jest kino, kasyno, biblioteka, sala gier, sale gimnastyczno sportowe, są organizowane dancingi i różne imprezy i zajęcia dla pasażerów. Jest tu wreszcie kilka ekskluzywnych barów (podano w ostatnim piśmie, że wypiliśmy 56 166 puszek i butelek piwa) i płatna superluksusowa restauracja serwująca jeszcze bardziej pyszne dania dla wybrednych czy snobistycznych pasażerów i ludzi bardzo bogatych (wiem, że niektórzy ubijali tam interesy).

\*\*\*

**Nowymi miejscami dla nas były: wyspa Dravuni (Fidżi), wyspa Niuafu'ou (Tonga), Rarotonga (Wyspy Cooka), Kiritimati albo Wyspa Bożego Narodzenia (Kiribati), Victoria i Vencouver (Kanada), Ketchikan, Glacier Bay, Juneau, Kodiak i Aleuty (Alaska - USA), Pietropawłowsk Kamczacki (Kamczatka – Rosja), Osaka, Kobe i Nagasaki (Japonia), Pusan (Korea Południowa), Tiencin (Chiny), Nha Trang i Vung Tau (Wietnam), Sihanoukville (Kambodża) i Darwin (Australia). Jednak cudownie było być ponownie nie tylko na Tahiti i Hawajach ale i innych wyspach. Ten rejon świata to prawdziwy raj na ziemi.**

Jednak i nowe miejsca zachwyciły mnie swoją wyjątkową urodą lub czymś innym. Bez wątplenia najpiękniejszą częścią podróży była kilkudniowa **podróż po Alasce** czy raczej po jej pd.-wsch. i pł.-zach. obszarach – niewątpliwie najładniejszych w tym stanie. Kiedy płynęliśmy tam przez cieśniny Clarence Strait, Summer Strait, Frederic Sound, Chatcham Streit i Icy Strait i stałem na frontowym pokładzie przeznaczonym dla turystów – szczególnie jak było ich mało - miałem wrażenie, że właśnie tam – na prawie zupełnie bezludnej drodze liczącej setki kilometrów, na wyjątkowo spokojnej tafli morza i przy jedynie odgłosach ptactwa morskiego, oraz bardzo swobodnie zachowujących się wielorybów (tu widziałem je pierwszy raz), licznych niedźwiedzi i jeleni oraz orłów, chłodnej temperaturze i czasami zamglonym z lekka krajobrazie (co nadaje mu mistyczny wydźwięk), drodze pełnej większych i małych wysp i wysepek pokrytych pięknymi lasami, często wprost cudownych zatok i zatoczek w ramie wysokich ośnieżonych gór kontynentalnego lądu

myślałem, że jeśli gdzieś na świecie można szukać Boga, to chyba właśnie tutaj. To miejsce jakby stworzone do kontemplacji, rewizji swojej duszy czy właśnie rozmowy z Bogiem.

Otoczoną wysokimi górami i wciskająca się w głąb na dziesiątki kilometrów wąska Zatoka Glacier Bay, która właściwie jest niczym innym jak fiordem, w której spędziliśmy cały dzień, czyli jej piękno trudno wprost opisać. To trzeba zobaczyć na własne oczy. Tę panoramę górską i różnego rodzaju lodowce, usłyszeć jak pękają i odrywają się z trzaskiem od lodowca wielkie lub mniejsze kawały lodu i uderzają z hukiem w spokojną tafelę morza, zobaczyć jak na rozbite bryły lodu wdrapują się foki, aby na nich odpocząć czy po prostu poleżeć, w pozach niekiedy wyjątkowo śmiesznych, zobaczyć niedźwiedzie buszujące nad jej brzegami i wsłuchiwać się w różne odgłosy ptactwa morskiego. Szkoda, że te lodowce wyjątkowo szybko topnieją z powodu ocieplenia się klimatu na ziemi i jak przewidują eksperci, za 10 czy 15 lat może ich już nie być.



Na tle lodowca Mendenhall na Alasce

Przepiękny lodowiec widzieliśmy również w głębi wyspy Juneau, na której leży stolica Alaski – Juneau. Nazywa się Mendenhall Glacier. Krajobraz i tam iście rajski! Można usiąść na ławeczce i godzinami go podziwiać. Podobnie swym pięknem zniewoliła mnie tylko Błękitna Laguna na Bora Bora (Tahiti). Zaczadzony jej pięknem godzinami wysiadywałem na jej brzegu zapatrzony w jej magiczny kolor (w 1990 roku spędziliśmy na niej 3 dni).

Na ziemi alaskiej czy - jak kto woli - alaskańskiej stanęliśmy po raz pierwszy w porcie Ketchikan. Przywitał nas wywieszony wielki napis przy nabrzeżu portowym, przy którym cumują licznie tu przybywające statki turystyczne (podczas naszego pobytu było ich aż 8 z 5000 pasażerów-turystów!): „Welcome to Alasca’s 1st City – Ketchikan – The Salmon Capital of the World” – co znaczy: Witamy w pierwszym mieście Alaski – Ketchikan – światowej stolicy łososia. Tak, to tutaj jest królestwo tej ryby. To najlepsze łososie na świecie, lepsze od norweskich. Z nich słynie Ketchikan. Jednak oprócz interesującego turystów łososią, pragną oni zobaczyć również ulicę na wodzie - Creek Street, na której po dziś dzień stoją drewniane domy, które w okresie gorączki złota w tym rejonie były domami publicznymi. To właśnie z Ketchikan rozpoczyna się podróż po fiordach Alaski. Fiordach, które wzorem łososi są w tym wypadku nie smaczniejsze, ale znacznie ładniejsze od norweskich fiordów. Chociaż te norweskie są równie cudowne. Wciąż mam przez oczyną przepiękną dolinę Aurland, która stanowi południowe ramię norweskiego fiordu Sogne, chociaż widziałem ją już 6 lat temu. *Sun Princess* musiał dokonać dużych zakupów łososią i krewetek na Alasce, gdyż mogliśmy oba smakołyki jeść codziennie na statku.

Alaska do 1867 roku należała do Rosji. Fakt ten potwierdza wiele setek rosyjskich nazw geograficznych na Alasce. W dziejach rosyjskiej Alaski niemałą rolę odegrali Polacy w służbie rosyjskiej, o czym pisałem w swoim szkicu o Polakach na Alasce (archiwum PdP). Jestem ciekawy czy ktokolwiek z Polaków czy historyków Polonii przebadał nazewnictwo rosyjskiej Alaski pod kontem poloników. Są także materialne ślady pobytu Rosjan na Alasce. Są nimi przede wszystkim rosyjskie drewniane cerkwie prawosławne w szeregu miejscowości Alaski, założonych przez Rosjan, m.in. w Sitka (która była stolicą najpierw rosyjskiej, a następnie do 1906 roku amerykańskiej Alaski, czy na wyspie Kodiak, gdzie założono pierwszą rosyjską osadę na Alasce. Przed najstarszą zachowaną cerkwią na Alasce – św. Mikołaja w Juneau zrobiłem sobie pamiątkowe zdjęcie, podobnie jak przed sąsiadującą z nią równie z drzewa katedrą katolicką Matki Boskiej.

Po Alasce na drugim i trzecim miejscu pod względem piękna dał bym Tahiti i Hawaje. **Wyspa Moorea i słynna Błękitna Laguna na wyspie Bora Bora, która jest nazywana Perłą Pacyfiku**, zapierają dech w piersiach swoim także rajskim urokiem. Niestety nie ma już na wyspie restauracji pana Dangla, którą tam była w 1990 roku i którą wspominałem w swym szkicu o Polakach na wyspach Pacyfiku (archiwum PdP).

Podczas pierwszego pobytu na Tahiti w 1990 roku uznałem Bora Bora za najpiękniejszą wyspę na Pacyfiku. Dzisiaj uważam jednak, że palma pierwszeństwa raczej należy się wyspie Moorea. Jednak, tak jak wspominałem, wszystkie wyspy na Pacyfiku są piękne. Swym pięknem zachwyciła mnie teraz pierwszy raz odwiedzona przeze mnie wyspa Rarotonga (Wyspy Cooka); zrobiłem sobie zdjęcie przez Parlamentem, który jest po prostu zwykłym bungalow! (może wszyscy politycy na całym świecie powinni obradować w bungalow, to może lepsze by były owoce ich pracy?!). Równie piękne są Samoa Amerykańskie.

**Hawaje** reklamy nie potrzebują. Odwiedza je także wielu Polaków tak z USA jak i obecnie z Polski. Jednak głośniejszą na całym świecie plażę Waikiki Beach w Honolulu nie można przyrównać do piękna plaż australijskich. Jest ona kopcuszkami przy bez wątpienia najpiękniejszych na świecie i ciągnących się dziesiątki kilometrów plażach australijskich. Na wyspie Maui byliśmy na szczycie wulkanu Haleakala (2969 m; w 1998 roku byłem z córką na szczycie czynnego wulkanu Kilauea na wyspie Hawajii), a w miejscowości Lahaina na tej wyspie zrobiłem sobie zdjęcie przy drugim największym drzewie na świecie (jest to drzewo banyan).

\*\*\*

W mojej pamięci bardzo wyraźnie utrwaliła się również podróż **przez Morze Beringa**, które oddziela rosyjski Daleki Wschód (Azję) od Alaski (Ameryki). Byłem tam świadkiem dziwnego zjawiska przyrodniczego. Morze było wyjątkowo spokojne – wyglądało na wielkie spokojne jezioro, a kolor jego wody i kolor nieba czy raczej rzadkiej pokrywy chmurowej był... taki sam - jasnostalowy. Stąd nie było widać horyzontu. Wszystko zlewało się w jedną całość. Płynęliśmy tak jak byśmy lecieli w przestworzach kosmosu. Ten kolor i wody i nieba był zapewne efektem chłodnego tutaj klimatu (zimna woda) i niskości Słońca na nieboskłonie w tym rejonie świata. Wszak byliśmy niedaleko Koła Podbiegunowego Północnego. Spokojną taflę jeziora zakłócały jedynie wieloryby najpierw ich „fontannami”, a zaraz potem majestatycznymi płetwami ogonowymi. Silny rozwój wielorybnictwa od XVII wieku spowodował gwałtowne zmniejszenie się pogłowia wielorybów na świecie i niebezpieczeństwo ich wyćpienia. W związku z tym szereg osób, w tym polski zoolog, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Michał Siedlecki (1873-1940), podjęło akcję ochrony tych zwierząt, co doprowadziło do zawarcia w Genewie w 1931 roku odpowiedniej konwencji.

Płynąc wzdłuż zimnych i niegościnnych gdyż nieużytecznych gospodarczo i bezleśnych **Wysp Aleuckich** zastanawiałem się jak ktokolwiek mógł się tu osiedlić czy może mieszkać. A jednak od tysięcy lat mieszkają tu nieliczni dzisiaj Aleuci, a teraz również kilka tysięcy Amerykanów. Widać, że człowiek może jak potrzeba przyzwyczaić się i dostosować do każdego warunków i klimatycznych i życia. Podobnie było i jest z wyspą Niuafo'ou (Tonga), którą odwiedziliśmy na początku podróży. Klimat jest tu co prawda bardzo dobry, ale **cała wyspa** to... aktywny wulkan, który co jakiś czas wybucha, niszcząc osiedla i zabijając ludzi. Po kolejnym groźnym w skutkach wybuchu wulkanu w grudniu 1946 roku ewakuowano całą ludność wyspy. Jednak już w 1958 roku pierwsza grupa jej byłych mieszkańców powróciła na Niuafo'ou i dzisiaj mieszka tu ok. 800 osób. Na wulkanie, który kipi, który łąda dzień może wybuchnąć, zniszczyć ich domostwa i ich pozabijać.

Przed Alaską byliśmy **w Kanadzie**, a dokładnie na wybrzeżach stanu Kolumbia Brytyjska. Jej stolica – Victoria na wyspie o tej samej nazwie jak również Vancouver to pięknie położone i ładne miasta. Naprawdę imponujące są wiekowe budynki Parlamentu stanowego i wielkiego hotelu wzniesionego przez Kolej transkanadyjską. W Vancouver czułem się tak jakbym był w Sydney czy Melbourne, a więc w swoim i ładnym oraz dobrze zadbanym domu z wszelkimi wygodami. Ostatecznie Kanadyjczycy i Australijczycy to ci sami ludzie (Anglosasi): ten sam język, ta sama kultura, te same wyznania religijne (w USA jest prawie podobnie, ale już nie tak samo jak w Kanadzie czy Australii). Płynąc do Victorii i Vancouver na ostatnim odcinku drogi morskiej płynie się wzdłuż płn.-zach wybrzeży amerykańskiego stanu Waszyngton i widać wysokie, piękne, ośnieżone szczyty tego górzystego stanu: Mt Olympus (2424 m) z Victorii i wulkan Mt Baker (3285 m) z Vancouver. Zresztą prawie całe wybrzeże Kolumbii Brytyjskiej – ze swoimi licznymi wyspami i wysepkami oraz zatokami przypomina wybrzeża pld.-wsch. Alaski. Pod względem geograficznym stanowią one jedność.

\*\*\*

**Zachwyciła mnie również piękno rosyjskiej Kamczatki** – majestatyczne i bielące się w blasku słońca szczyty wulkanów Wiluczński (2713 m) i Koriacka Sopka (3456 m). Sam Pietropawłowski Kamczacki (140 000 mieszk.) nad Zatoką Awaczyńską jest ładnie położony. Zauważyłem tam, że dana temperatura-

ciepło nie jest równe takiej samej temperaturze-ciepłu w innym miejscu na świecie. Podczas naszego pobytu w Pietropawłowsku był ładny słoneczny dzień z temperaturą plus 16 stopni C. Mieszkańcy miasta chodzili lekko ubrani. My mieliśmy ciepłą odzież na sobie i wcale nam nie było gorąco. Otóż dzisiaj w Melbourne jest zaledwie plus 15 stopni C. I jest bardzo zimno. Prawda, nie świeci słońce. Ale nawet gdyby świeciło byłoby ciągle zimno – zimno, nie chłodno! – i wszyscy mieszkańcy Melbourne chodziliby ciepło ubrani.

**Rosja** to po 1991 roku zupełnie inny kraj, na pewno nie komunistyczny. Tym bardziej dziwią pozostałe po nieboszczce ZSRR pamiątki chyba w każdym mieście rosyjskim. Nie brak ich oczywiście także i w Pietropawłowski Kamczackim. Są tu m.in. ulice: Sowiecka (Radziecka), 50-lecia Października (Rewolucji Bolszewickiej), Leningradzka (choć Leningradu już nie ma), Karola Marksa oraz na głównym placu miasta wielki pomnik Lenina. Ciekawostką i wymownym faktem jest to, że na jego długim postumencie po prawej stronie umieszczono chyba niedawno duży napis: „Plan Putina budżet realizowan!” (zdjęcie poniżej).



przed pomnikiem Lenina w Pietropawłowsku Kamczackim

Do portu w Pietropawłowsku Kamczackim wpłynęliśmy o 5 rano. Była to pierwsza wizyta jakiegokolwiek statku turystycznego w tym mieście. Miasto – władze miejskie ładnie nas przywitwały. Częstowano nas wódką i chlebem z pysznym kawiozem. Później w statkowym teatrze występowały rosyjska i koriacka grupa folklorystyczna. Niestety właśnie wtedy był konflikt rosyjsko-gruziński i władze amerykańskie ostro krytkowały rosyjską interwencję zbrojną w Gruzji. Nasz statek jest amerykański i padliśmy ofiarą politycznych gier. Otóż zapewne władze w Moskwie postanowiły ukarać amerykański statek znajdujący się w rosyjskim porcie. Zaraz po zacumowaniu w porcie pietropawłowskim na statek weszło aż 29 (w innych państwach po kilku) urzędników rosyjskich z urzędu imigracyjnego. Pomimo tego do końca dnia nie wydali wiz dla bardzo wielu pasażerów (my mieliśmy wize już o 8.30 rano i mogliśmy wziąć udział w wycieczce po mieście i w góry za miasto), którzy z tego powodu nie mogli wyjść na ląd. Urzędnicy ci urządzili sobie m.in. 2-godzinną przerwę obiadową, a obiad... zakrapiany wódką musiał dostarczyć statek! Interwencje kapitana statku i kompanii u władz rosyjskich były zbyt milczeniem. *Sun Princess* miał wypłynąć z portu o 6 wieczorem. Tymczasem wypłynął dopiero o 9.45 wieczorem, gdyż urzędnicy rosyjscy skrupulatnie sprawdzali czy nikt z pasażerów nie został nielegalnie na lądzie – w Pietropawłowsku. Odplywający statek eskortowały rosyjskie łodzie podwodne (Log of the Cruise, Sydney Morning Herald). Pietropawłowsk utracił okazję odwiedzania go przez statki turystyczne. A szkoda, gdyż warto pokazywać światu uroki Kamczatki.

\*\*\*

Zwiedzone przeze mnie miasta japońskie, szczególnie ich centra, trudno uważać za miasta azjatyckie. Niczym, podobnie jak i Singapur, Pekin, Szanghaj czy Hongkong, nie różnią się od wielkich nowoczesnych miast amerykańskich. Jednak im dalej od centrum, np. w Osace, tym więcej widać Azji, głównie w architekturze i stylu życia, bowiem ubiory prawie wszystkich ludzi są już europejskie. Kiedy byłem w Chinach w 1968, 1988 a nawet jeszcze w 1995 roku można było zobaczyć bardzo wielu Chińczyków nawet w Pekinie, Szanghaju, Kantonie czy Hongkongu ubranych w tradycyjne ubiory chińskie. Dzisiaj tylko pojedyncze osoby chodzą w chińskich ubiorach i są to zapewne osoby przybyłe do tych miast z prowincji. Jednak muszę przyznać, że nowoczesny Szanghaj, Hongkong czy Singapur to bardzo ładne miasta. Singapur dodatkowo zwraca na siebie uwagę swoją wyjątkową chyba na całym świecie czystością.

Ładnie położonym i w ogóle ładnym i ciekawym dla turysty europejskiego i polskiego (japoński Niepokalanów – pobyt tam św. Maksymiliana Kolbe) miastem jest **Nagasaki** – miasto, na które 9 sierpnia 1945 roku spadła druga amerykańska bomba atomowa. Zabiła od razu ok. 40 000 mieszkańców miasta, z tym że ostatecznie od jej wybuchu i potem promieniowania zginęło lub zmarło łącznie 73 884 osoby, a dalszych 74 909 zostało rannych; kilkaset tysięcy osób uległo radiacji i wielu z nich zmarło później na różne choroby przez nią wywołane.



Przed Pomnikiem Pokoju w Nagasaki (Japonia)

Dopiero w Nagasaki dowiedziałem się, że bomba spadła na północną część miasta, którą zamieszkiwała głównie ludność chrześcijańska (Nagasaki były i są nadal głównym ośrodkiem chrześcijańskim w Japonii; podczas gdy w całej Japonii chrześcijanie stanowią zaledwie 1% ludności kraju, to w liczącym 400 000 mieszkańców Nagasaki jest ich ok. 35 000). Bomba wybuchła akurat nad samą katedrą katolicką, zwaną Urakami (1875-1914, był to największy kościół katolicki we wschodniej Azji), zabijając jednocześnie 8500 katolików spośród 12 000 katolików mieszkających wówczas w Nagasaki. Dzisiaj maleńka niezniszczona część katedry (kawałek portalu i muru z lewej strony) stanowi pamiątkę po tej tragedii i pierwszej katedrze. Nową katedrę wzniesiono ok. 100 od zniszczonej. Tuż obok resztek starej katedry wzniesiony obelisk upamiętnia hipocentrum wybuchu bomby. Wysokie wzgórza dzielą północną część miasta od dzielnicy portowej. I to one uratowały przed zniszczeniem tę część Nagasaki; tym samym nie uległ zniszczeniu piękny katolicki kościół Oura z 1864 roku no i japoński Niepokalanów. Polscy franciszkanie włączyli się do wielkiej akcji niesienia pomocy poszkodowanej ludności miasta. Byłem u podnóża japońskiego Niepokalanowa (jest zbudowany na wzniesieniu), robiąc spod niego nawet zdjęcie wielkiej figury MB Niepokalanej, ale nikt ze spotkanych Japończyków z braku znajomości angielskiego nie potrafił nam powiedzieć jak się idzie do jego wejścia krętymi uliczkami w tej części miasta, a taksówki tutaj nie jeździły. Podchodziłem z kilku stron, ale właściwej uliczki nie znaleźliśmy. I tak nie danym mi było być w japońskim Niepokalanowie związanym z osobą św. Maksymiliana Kolbe.

\*\*\*

Będąc w **Korei** byłem zaskoczony wielką ilością kościołów chrześcijańskich w 4-milionowym Pusanie, gdzie widziałem również tamtejszy uniwersytet katolicki. Jadąc kilkadziesiąt kilometrów ulicami bardzo nowoczesnego Pusanu czułem się tak jakbym był w jakimś kraju chrześcijańskim. Rozwój chrześcijaństwa jest tu niebywały. W 2004 roku w diecezji Pusan było 380 000 katolików skupionych wokół 95 parafii. Jest tu żywa pamięć o „polskim” papieżu Janie Pawle II. Zwiedziliśmy będącą w górach świątynię buddyjską Beomeosa z 678 roku, która jest drugą największą świątynią tego wyznania w Południowej Korei.

O Pekinie, Szanghaju i Hongkongu jak również o Singapurze mogę dodatkowo powiedzieć tylko tyle, że w

bardzo dużym stopniu zatraciły swą chińską duszę. A szkoda. Hongkong, który odwiedziłem po raz pierwszy w 1968, a następnie w 1988 roku i teraz to za każdym razem zupełnie inne miasto – coraz mniej chińskie, coraz bardziej nowoczesne i światowe. Coraz bardziej bez korzeni i ducha. Widać to po pocztówkach, które kupuję zawsze w każdym odwiedzanym przeze mnie mieście (od 1964 roku zbierałem ich kilka tysięcy), gdyż uważam je za najlepsze zdjęcia. Wyobraźmy sobie Warszawę za 20 lat bez Starówki i Nowego Świata, a w ich miejsce pobudowane wielkie drapacze chmur. Taką kastrację architektoniczną duchową dokonuje się w miastach chińskich i chyba na całym Dalekim Wschodzie. Zauważyłem, że prawie dla wszystkich mieszkańców Dalekiego Wschodu jest obce niezrozumiałe pojęcie „zabytek architektoniczny, który musimy zachować dla przyszłych pokoleń”. Prawie zawsze było tak, że nowy władca niszczył stary pałac i budował sobie nowy, a ludzie niszczyli swój stary dom jak tylko stać ich było na zbudowanie sobie nowego, chociaż ten stary był jeszcze w dobrym stanie i wygodny. Stąd w Japonii jest tak mało starych zabytków architektonicznych. Zastępowało je wszystko to co nowsze i lepsze. Stąd także podczas tzw. rewolucji kulturalnej w Chinach (lata 60. i 70. XX w.) z taką łatwością zniszczono tysiące starych, zabytkowych budowli, aby właśnie budować nowy lepszy świat.

Mogę tu wspomnieć i o tym, że cała droga z **Tiencinu do Pekinu**, a więc na odcinku aż 200 km, jest wysadzona dekoracyjnymi drzewami i upiękaszona klombami obsadzonymi ładnymi kwiatami lub po prostu kwiatami. Musiało przy tym pracować tysiące ludzi i kosztować to musiało wiele milionów dolarów. Uważam, że jest to jeszcze jeden dowód na to jak bogate jest dziś państwo chińskie (Chiny stają się prawdziwym supermocarstwem: USA pożyczają od Chin miliardy dolarów!), chociaż jeszcze nie społeczeństwo chińskie. Jednak i ono żyje dziś lepiej niż jeszcze nie tak dawno temu. Kiedy byłem w Pekinie w 1995 roku na ulicach miasta było mrowie rowerzystów. Dzisiaj rowerzystów-rowerów można policzyć na palcach. Ulice Pekinu i innych wielkich miast chińskich zapchane są dzisiaj motocyklistami-motocyklami, którymi jeżdżą nawet młode dziewczęta. Jest ich dziesiątki czy nawet setki na każdej ulicy. Stanowią one główne tło dzisiejszych ulic miast chińskich.

Pamiętam jak w 1988 roku jechaliśmy autobusem z Hongkongu do Kantonu (150 km), bądź co bądź główną drogą. Przy całej drodze leżały sterty śmieci i chodziły świnie i kury w tę i tamtą stronę, co strasznie utrudniało jazdę naszemu kierowcy, a domy w pobliżu drogi były zazwyczaj w bardzo opłakanym stanie, chociaż bogaci chłopcy zaczęli już budować sobie okazałe domy. Chciałbym zobaczyć tę drogę dzisiaj. Przypuszczam, że i ona jest dzisiaj w takim stanie jak droga z Tiencinu do Pekinu.

\*\*\*

Dużym doświadczeniem dla mnie były wizyty w **Wietnamie**, a przede wszystkim w Kambodży. Sajgon trochę mnie rozczarował. Po wielkich i nowoczesnych oraz zadbanych miastach w Japonii, Korei i Chinach sprawiał wrażenie kopcuszka, biednego kuzyna tamtych wielkich miast. Kuzyna azjatyckiego, gdyż miasto jest bardziej azjatyckie niż nowoczesne, a tym samym mniej europejskie, chociaż są tu piękne budowle wzniesione za panowania tu Francuzów, jak np. ratusz, opera, poczta główna, katolicka katedra Notre Dame itd. Widać jednak, że Wietnam rozwija się gospodarczo. Widać to nawet w Nha Trang, które jest znanym kąpieliskiem morskim i to jeszcze z dawnych lat. Tutaj spędzali wakacje nad morzem królowie wietnamscy i prezydenci byłego Południowego Wietnamu, po których pozostał pałac, a podczas wojny wietnamskiej żołnierze amerykańscy. Miasto jest ładnie położone i ma szereg atrakcji turystycznych, tak przyrodniczych (np. przylądek Hon Chong z ładnymi formacjami skalnymi) i architektonicznych (starożytne wieże z okresu królestwa Champa, katedra katolicka z okresu francuskiego, znana świątynia buddyjska).

Wietnam jest komunistycznym państwem i działalność Kościoła katolickiego (8 mln wiernych) podlega jeśli nie prześladowaniu to na pewno dużej dyskryminacji. A jednak wiara wietnamskich katolików jest bardzo głęboka i mają odwagę ją demonstrować. W drodze z portu w Vung Tau do Sajgonu (130 km) widzieliśmy wiele domów, na froncie których stały duże figury Pana Jezusa lub Matki Boskiej Niepokalanej. Nasza przewodniczka turystyczna sama od siebie powiedziała nam, że jest katoliczką i co niedzielę uczęszcza do kościoła. Co więcej w samym porcie Vung Tau na mającym 170 m wysokości przybrzeżnym wzgórzu Nho stoi licząca 32 m wysokości biała figura Pana Jezusa z rozpiętymi ramionami szerokimi na 18 metrów. Jest ona tak umieszczona, że widzi ją załoga każdego statku wpływającego do portu.

\*\*\*

**W Kambodży** po raz pierwszy na własne oczy widziałem biedę tzw. krajów Trzeciego Świata. Odwiedziliśmy



pewną wioskę w pobliżu Sikanoukville, a w niej piętrowy dom 16-osobowej rodziny, zbity z jakiś desek, kawałków drzewa i blachy, bez czystej wody pitnej, kanalizacji i elektryczności. Wszędzie przysłowiowa bieda aż piszczy. A na dokładkę wszędzie – dosłownie na każdym kroku - masa dzieci (zwiedziliśmy także tutejszą szkołę, która swą biedą upodabnia się do otoczenia, a tym samym w wyglądzie i urządzeniu jest daleka od szkół w Australii czy Polsce), które za kilka lat będą miały własne dzieci, powiększając jeszcze bardziej skalę biedy! Tym bardziej, że Kambodża nie ma szans na duży rozwój gospodarczy. - Urzekła mnie natomiast stara, delikatna w swej formie architektura kambodżańska (świątynie), bardzo podobna do tajlandzkiej.

\*\*\*

Natomiast bardziej przykrym doświadczeniem była dla mnie scena, którą ujrzałem w **San Francisco** (byliśmy tu także w 2003 roku; byliśmy wtedy przy słynnym moście Golden Gate Bridge – Złotych Wrotach, a obecnie statek nasz przepłynął pod tym mostem), a konkretnie podczas spacerowania w pobliżu China Town - chińskiej dzielnicy. Raptownie widzimy na ulicy na odcinku około 150 m pełno (chyba z 300) strasznie wyglądających zazwyczaj młodych ludzi. Wielu z nich było przeraźliwie chudych, bladych, brudnych, z kolczykami na uszach i w nosach, wiele dziewcząt wyglądało jak jakieś prostytutki z najgorszego burdelu. Przerażający widok. Z początku myślałem, że to teren gdzie można podłapać za dolara najtańsze prostytutki w tym mieście. Szybko się jednak zorientowałem, że to nie to, że to chyba zgrupowanie czy zlot jakiś chuliganów i - co tam dużo gadać – przeleciał po mnie strach. Pomyślałem sobie: „Boże, gdzie się znalazłem” i chciałem przejść na drugą stronę szerokiej ulicy na najbliższych światłach. Przy światłach był jednak bardzo stylowy dom, przypominający pałac albo jakiś kościół przy którym było mrowie tych „chuliganów”. Z napisu na budynku dowiedziałem się, że jest to dom pomocy dla narkomanów. Sprawa się wyjaśniła. Ci ludzie to po prostu narkomani. Chociaż nie zachowywali się agresywnie, tak szybko jak tylko było można opuściliśmy ten teren.

\*\*\*

21 września przybyliśmy ponownie do brzegów Australii – do portu w **Darwinie**, który jest stolicą Terytorium Północnego. Poczulem, że jestem już jedną nogą w domu. Z jednej strony przyjemnie było tak długo podróżować po cudownych zakątkach świata, jednak z drugiej strony zaczęliśmy już tęsknić za domem i liczną rodziną oraz naszymi zwierzętami i papugą.

Mało czy prawie nikt poza Australią nie wie, że Darwin był jedynym miastem australijskim, które i którego ludność zetknęła się osobiście z horrorem II wojny światowej. Japonia planowała inwazję Australii i szykując się do tego rankiem 19 lutego 1942 roku 188 japońskich bombowców dokonało pierwszego nalotu na miasto. Na Darwin zrzucono wówczas więcej bomb niż na zaatakowaną 7 grudnia 1941 roku amerykańską bazę wojskową Pearl Harbor na Hawajach. Prawie cały Darwin został obrócony w kupę gruzów, a pod bombami zginęły 243 osoby. Japończycy dokonali później wiele innych nalotów na miasto i okolice. Zwiedziliśmy australijsko amerykańskie instalacje wojskowe z tego okresu w Darwinie, które dzisiaj stanowią część Muzeum Wojskowego. Jeśli nie doszło do inwazji Australii to tylko dlatego, że licząca wówczas zaledwie 7,5 mln Australia zmobilizowała do obrony północny kraj aż pół miliona (!) ludzi. Japończycy uznali, że tej zapory na pewno nie przełamają, tym bardziej, że północ Australii była i jest nadal prawie bezludna, pozbawiona dróg, często wody pitnej i całkowicie lokalnych zasobów żywności oraz pełno tu krokodyli i jadowitych węży. Dzisiaj Darwin jest ładnym i atrakcyjnym turystycznie miastem (ma 120 000 mieszkańców).

Z Darwinu popłynęliśmy w kierunku wschodnim w stronę Cieśniny Torresa, która oddziela Australię od Nowej Gwinei i należących do Australii zamieszkałych przez tubylców wysp Torres **Strait Islands**, które widzieliśmy z bliska, aby po minięciu Przylądka York, który stanowi najbardziej na północ wysuniętą część kontynentalnej Australii, wpłynąć na wody Wielkiej Rify Koralowej. Płynęliśmy bez wątplenia przez najpiękniejszą część Wielkiej Rify Koralowej. Na odcinku kilkuset kilometrów jest masę wysepek i wysp oraz raf koralowych, widać ciągnące się chyba nieprzerwanie przez dziesiątki kilometrów piękne białe piaszczyste plaże, widać było wielkie wydmy, a woda w morzu ma tu piękny błękitny kolor – i taki tylko w tej części Wielkiej Rify Koralowej. Od razu przypomniała mi się słynna Błękitna Laguna (Blue Lagoon) na Bora Bora (Tahiti). Dla mnie stało się jasnym, że Australia ma swoją Błękitną Lagunę i w górnej połowie wielkiego Półwyspu York jeden z najpiękniejszych zakątków na świecie. Co z tego skoro ten cudowny zakątek Australii i świata jest w

zasadzie niedostępny dla zwykłego śmiertelnika, dla turystów. Docierają tutaj jedynie milionerzy na swoich jachtach lub pasażerowie statków turystycznych, takich jak nasz. Bowiem ten zakątek Australii jest bezludny i nie ma tu żadnych dróg. Dobra droga kończy się w Cooktown, a więc bardzo daleko od tego miejsca. Turyści podziwiają w zasadzie tylko środkową część rafy koralowej w okolicy Cairns i Green Island. Wciąż jest ona tam ładna, ale nie może się równać z pięknem północnej części Wielkiej Rafy Koralowej.

\*\*\*

Na *Sun Princess* nie byliśmy jedynymi Polakami. Wśród pasażerów było co najmniej pięciu innych Polaków z Australii, a wśród załogi statku co najmniej dziesięciu Polaków z Polski: Gosia, Magda i Krzysztof – pracujący w sklepach, Gosia i młodzieniec, którego imienia zapomniałem - w restauracji, Agata w barze, Ewa w zakładzie fotograficznym, Iwona w Belbox, Helena z Krakowa bodajże, w administracji i Arek – jako pokojowy. Słyszałem, że na statku pracuje również młoda Polka ze Lwowa. Są to młodzi ludzie spragnieni przede wszystkim poznania świata, gdyż zarobki na statku są bardzo liche. Większość z nich pochodzi z Gdańska i okolicy. Gosia (ze sklepu) pracuje na statkach turystycznych już 5 lat, a Magda 3 lata i awansowała ostatnio na stanowisko zastępcy kierownika sklepu. Spytałem się Krzysztofa czy Polacy pracujący na statku tworzą jakieś kółko polskie lub czy utrzymują ze sobą bliski kontakt. Niestety, odpowiedź była przecząca, że niby praca im na to nie pozwala. Jedynie ci ze sklepów i ta Polska ze Lwowa utrzymują ze sobą bliski kontakt.

Również wśród wielu dobrych artystów występujących na statku było dwóch Polaków – pianiści Józef Sobolewski i Mirosław Gałczyński, który grał również na innych instrumentach muzycznych, zbierając wielkie brawa.

O napotkanych podczas podróży polonikach, często nowych, napiszę osobno.

75 dni szybko przeleciało i 27 września wpłynęliśmy do cudownie położonego Sydney. Bowiem wszystko co dobre szybko mija i teraz ponownie muszę wrócić do codzienności. Na pewno nie szarej, ale na pewno nie tak przyjemnej i beztrudnej, jaką mieliśmy na statku i w podróży po rajskim Pacyfiku.

**Tekst i zdjęcia: Marian Kałuski, Australia, 8 października 2008 r.**